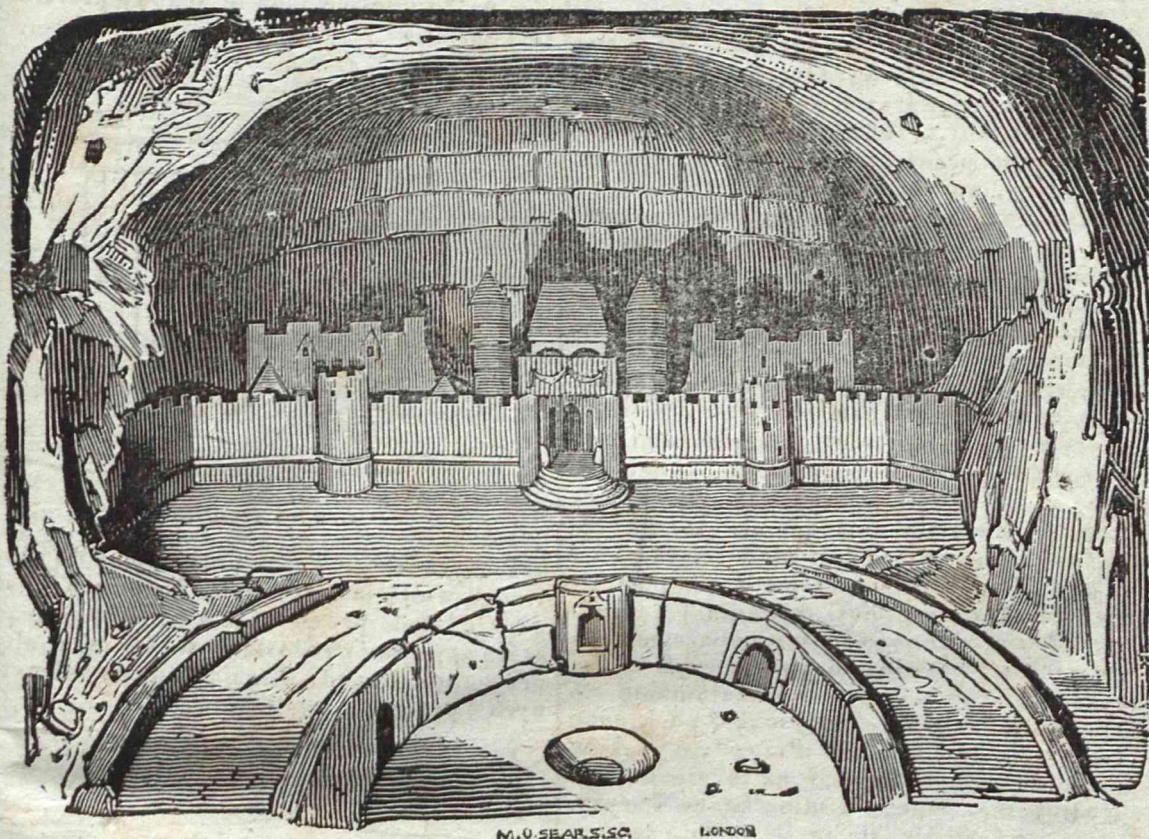


## KATAKUMBY PARYZKIE.



M. O. SEARLES &amp; CO.

LONDON

Między osobliwości Paryża, znamięte miejsce zajmują katakumby. Wiele osób mówi o nich, a mało jest takich którzy je widzieć mogli. Od lat dziesięciu zabroniono wchodzić do katakumb i trzeba na to otrzymać szczególne pozwolenie ministra. A przecież, nie tam nie ma prócz kości umartwych, sklepień i głębokich jaskiń; wszystkie te przedmioty nie szkodzą nikomu, przemawiają równie do uczuć, jak do duszy dostrzegacza. Jakiż więc jest powód owego zakazu? nie wiem.

Katakumby są to wydrążenia naturalne, nie zaś sztuczne, jakby kto mógł sądzić; ręka ludzka powiększyła je potem i urządziła, lecz sama natura wykopała ich przestrzeń i głębokość.

Aż do roku 1783 nie wiedzano jaka jest ich obszerność i znano je tylko jako podziemia nie daleko Paryża, z których wydobywano materiały do budowy domów. Do owej przeto epoki były tylko kopalniami kamieni.

Lenoir, naczelnik policji za Ludwika XVI, powziął myśl uczynić je tem, czem są teraz, wielką kostnicą, pomnikiem grobowym tak wspaniałym, religijnym i tak jedynym w rodzaju swoim, że podług zdania wszystkich

cudzoziemców, podróżnych i artystów, którzy go zwiedzili, żaden pomnik starożytny do niego się nie zbliża.

Mieszkańcy okręgu targów, od dawna użalali się na zgnite wyziewy wydobywające się z cmentarza *Niewiniątek*. W r. 1780, przestraszeni przypadkami które się zdarzyły w piwnicach wielu domów przy ulicy *Lingerie*, z powodu bliskości wspólnego dołu wykopanego w 1779, a w którym wrzucano przeszło 2000 ciał, uczynili przełożenie do naczelnika policji, wskazując jak dalece szkodzi zdrowiu ta nieznierna masa zgnilizny, w której: wyrażone było w podaniu: *liczba ciał złożonych, przechodząca wszelką proporcję tak, że jej nawet obrachować nie podobna, wzniosła poziom cmentarza o osiem stóp nad ulicę sąsiednie.*

W rzeczy samej, preraża to wspomnienie, przez jak długi czas we wszystkich krajach chowano trupów po kościołach i szczupłych cmentarzach wewnątrz miasta znajdujących się, i nie pomyślano o tém, że okropne zaraźliwe choroby, które tylokrotnie niszczyły stolice państw Europejskich, brały początek z tego nagromadzenia zgnilizny! Dziwne jest usposobienie umysłu ludzkiego. Zdajesię, że im prostsza jest, im

zbawienniejsza jaka prawda, tém trudniej przypada do pojęcia i przekonania ludzi.

Naczelnik policji przyjął podanie, uznał jego słuszność i wyjednał zniesienie kościoła *Niewiniątek*, wyczyszczenie jego starożytnego cmentarza i zamienienie go na plac publiczny. Wkrótce potem komisyja mianowana przez królewskie towarzystwo medycyny, poradziła, aby w katakumbach złożyć nie tylko kości z cmentarza *Niewiniątek*, ale i ze wszystkich innych cmentarzy i grobów Paryżkich.

Taki był początek odkrycia i urządzenia podziemiów, które teraz noszą nazwisko katakumb.

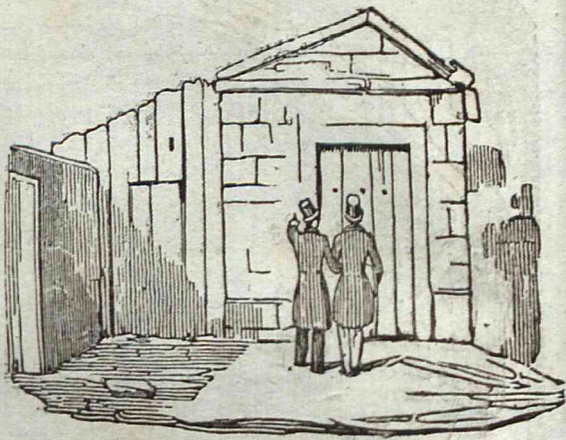
Jeden z robotników zwany *Decure* (a imię jego zasługuje na pamięć, z nim bowiem łączy się najtkliwszy ustęp tej historii) postrzegł najpierw, że znane podziemia leżące za rogatkami S. Jakóba, łączą się z innymi podziemiami nieznanymi, których głębokość i obszerność jest niedosiężna oku i myśli. Pan Guillaumot inspektor jeneralny, kazał czynić poszukiwania i z przestrachem przekonano się o przepaściach ciągnących się prawie pod trzecią częścią Paryża. Jaki bądź przypadek, załamanie się skały, osypanie się ziemi, mogło pochłonąć tysiące domów i ludzi. Przez tyle wieków rząd nie zwracał uwagi na te niezmierne wydrążenia. Obojętni mieszkańcy Paryża, wesoło bawili się, nie myśląc wcale że roztrzuta otchłań pod ich stopami, co chwila może ich pochłonąć. A jednakże nieraz ostrzegali ich, szczegółowe przypadki; nie raz obsunęła się ziemia, zrywał się budynek. Nie przedsięwzięto żadnych poszukiwań... Po cóż się dziwić? Neapol zasypia na Wezuwiuszu.

Cóżkolwiek bądź, teraz już ustał wszelki powód obawy, wzmocniono filarami słabe i przynięcione sklepienia i zabezpieczono się od wszelkich niespodzianych zdarzeń.

Katakumby rozciągają się pod całym prawie przedmieściem Sgo Germana, i tak zwanym okręgiem łacińskim, oprócz tego zajmują wiele ulic przyległych.

Zstępuje się do nich trzema odmiennymi schodami. Pierwsze znajdują się przy rogatce de l'Enfer, drugie na równinie Mont-Souris, trzecie przy grobie Isoarda, tak nazwaną od sławnego rozbójnika, który kryjąc się w katakumbach, rozbijał w okolicy. Temi to schodami wszedłem do Katakumb. Prowadził nas doświadczony przewodnik i opatrzeni pochodniami zeszlismy krętymi schodami na 51 stóp głębokości. W głębi tej studni zaczynają się podziemia. »Nie odalajcie się ode mnie, rzekł nasz przewodnik: a gdyby się kto z was obłąkał, spojrzycie na tę czarną linią naznaczoną na

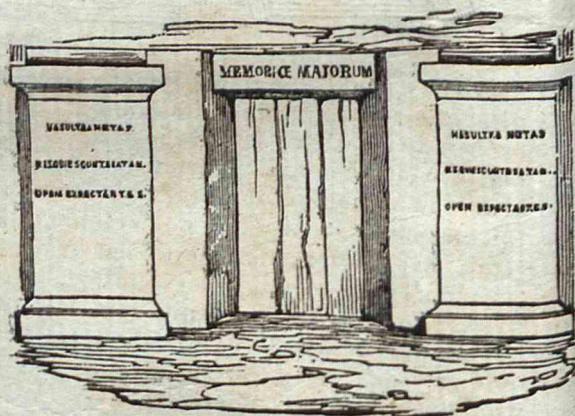
sklepieniu; ciągnie się ona aż do ostatnich zakątków, jęj się trzymajcie, ona będzie dla was nicią Aryadny i zawsze przyprowadzi was na to miejsce i na te schody któremiśmy zesšli.»



*Brama Isoarda.*

Po kwadransie drogi przyszlismy do głównego wnijscia katakumb. Ta brama, jest poprzedzona przysionkiem czyli kaplicą, którą zapewne zbudowano w tym celu, aby przygotowała odwiedzającego do szczytnych i przerażających widoków.

»Memoriae majorum.»  
(Pamięci zmarłych.)



*Główne wnijscie.*

Taki napis czytamy na bramie, ułożony z wielkich czarnych liter, a po obu stronach na dwóch tablicach w kształcie nagrobku wyrtyo.

Has ultra metas,  
Requiescant beatam  
Spem expectantes.

(Za temi szrankami,  
Spoczywają błogostawionej  
Nadziei wyglądający.)

Otworzono bramę i cofnelismy się nagle przed widokiem który nasze oczy uderzył. Dwa tysiące głów i dwadzieścia tysięcy ko-

ści trupich, pokazują się razem; ułożone jedne na drugich na cztery stopy grubości, a na 10 stóp wysokości. Widok ten uczynił na nas niepojęte do opisanego wrażenie; okropność nas przejęła; ale była to religijna okropność. Sam nie wiem przed kim ukorzyłem czoło moje, czy przed Stworzycielem, czy przed stworzeniem? przed Bogiem, czy przed umarłymi? ale machinalnym ruchem powodowany, podniosłem rękę i odkryłem głowę.

Człowiek czuje jak małym jest w obec tylu pokoleń natłoczonych razem, w przestroni dziesięciu stóp kwadratowych. Widok tych czaszek i tych kości, czynił na mnie takie same wrażenie, jak gdybym wziął w rękę garść kurzu i dmuchnął na niego, mówiąc: »To było tysiącem ludzi. Po tem pierwszym wrażeniu następują inne odmienne. Te kości ułożone w małe krzyże, z czaszką we środku, przykre czynią wrażenie. Trup, jest to my sami, a nie lubimy być przedmiotem zabawki. Ta symetria zastosiwna do szczątków ludzkich, wydaje się igraszką; zniewagą i ujną godności człowieka; przykro nam jest gdy pomyślimy, że tak mogą bawić się z naszymi szczątkami i przenosim odosobnienie i nieład smentarza, nad to obicie grobowe zrobione z kości i całunów... Zastona spada; wówczas uroczystość znika, a śmieszność się zaczyna. Myśl o Bogu oddala się, widzimy tylko niedołężność człowieka. I dla tego też ze śmiechem przeczytaliśmy napisy ozdabiające ze wszech stron ten amfiteatr kostny.

Nasz przewodnik postrzegłszy to i dla utrzymania naszej wesołości, opowiedział nam następującą historyjkę, która zdarzyła się robotnikom układającym kości trupie.

Pewnego dnia, albo raczej pewnej nocy, nie ma bowiem dnia w katakumbach; gdy układali piszczele i głowy, bawiac się nimi jak grabarze w Hämlecie, jedna z nich, leżąca na ziemi, zaczyna ruszać się i chodzić. Wszyscy rzucają lampy i uciekają z przeraźliwym krzykiem, przekonani że szatan ściga za nimi.

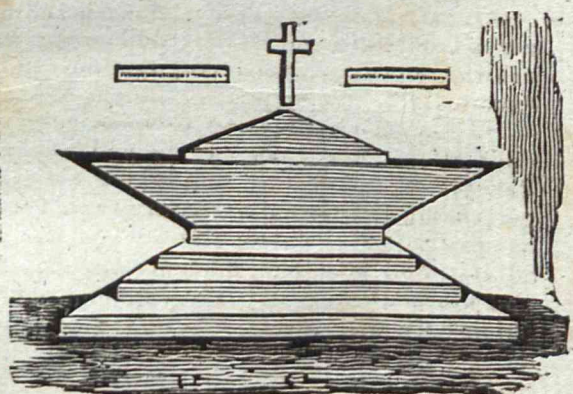
Jeden, jeszcze bardziej przestraszony, pada w znak i napełnia krzykiem jaskinie, rzucając się jak potępieniec. Wielka wrzawa wszczynają się na górze, wołają inspektorów, a najodważniejsi schodzą do walki ze złym duchem. Stawają na mniejszej, głowa rusza się jeszcze; zewsząd lecą na nią motyki i widły, gdy w tém ogromny szur który wlał był w czaszkę i wyszł z niej nie mógł, wyrwa się wreszcie i ucieka pośród powszechnego śmiechu.

Robotnik który był upadł, nie doczekał końca tej sceny, uciekł skoro tylko mogli się podnieść; nie chciał uwierzyć, gdy

mu opowiedziano co było powodem przestraszenia. Przekonany był że widział diabła na własne oczy i odtąd już ani postać w katakumbach. — Z tego miejsca przeszliśmy pomiędzy dwoma stosami kości ciągnącemi się na ćwierć mili, do *gabinetu Mineralogicznego*; gdyż katakumby są podziemnym Muzeum, któremu nic nie brakuje. W tym gabinecie znajduje się bardzo ciekawy zbiór wszystkich pokładów ziemi; kamieni, próbek i stalaktytów składających grunt tych podziemi. Widzieliśmy następnie gabinet *osteologiczny*, złożony z rozmaitych części zwracających uwagę pod względem patologii i fizjologii, wydobytych z tych milionów kości.

Nie wspomnę o kilku kaplicach żałobnych, zrobionych z czaszek i piszczele. Każda z nich powiększa smutne wrażenie tego miejsca: o jednej tylko namienię, o kaplicy Gilberta, znamienitego poety, który umarł z rozpacz i nędzy. Paryż dobrze uczynił że jego zwłoki ukrył w katakumbach! Za nagrobek położono ten wiersz jego:

„Na ucztę życia, nieszczęsny biesiadnik,  
Przybył na chwilę i umarł.



Kaplica Gilberta.

W tych podziemiach znajdują się dwa źródła: jedno ma trzy stopy głębokości, drugie piętnaście; woda w nich jest bardzo czysta. Przebądźmy ostatnią bramę składu kości, a zapuszczając się dalej, dojdziemy do wnijścia zwanego Port Mahon i do zajmującej okoliczności od której je nazwano.

Prosty wyrobnik Decure, odkrył ją w r. 1777. Tak dumny ze swojego odkrycia, jak Kolumb z odkrycia Ameryki, nie wyjawiał go przed nikim. Miał do tego powody. Ubogi robotnik, czuł w duszy swojej, że coś więcej może dokazać jak piłować kamienie i tynkować filary. Uczuł ten głos wewnętrzny, który mówi do człowieka: »zrób to, takie jest twoje powołanie;« uczuł, że jest artystą zdolnym powziąć pomysł i utworzyć, lecz bojaźliwy robotnik nie śmiał... nie śmiał być ubogim. Pierwsze jego próby po-

trzebowały zachęty, a w braku zachęty potrzebowały tajemnicy i milczenia. Znalazł je w swojej pieczarze.

Przez długi czas był jeńcem w Port-Mahon, umyślił zrobić jego plan w płaskorzeźbie na jednej z mass kamieni, którymi był otoczony. Założył tam mały warsztat i chwile wypoczynku poświęcał pracy. Przez lat pięć pracował nad tą płaskorzeźbą i od 1772 do 1782, wyciosał na ścianie miasto Port-Mahon, warownię Filipa i kościoły.

Decure, mówi pan Hericourt, pracował w milczeniu; nikt inny prócz niego nie byłby zdołał wniknąć do jego pracowni. Ukończywszy dzieło, chciał zrobić wygodne schody, robione w massie; lecz zły uczynił rozmiar, zawaliły się kamienie, a biedak ten, niebezpiecznie zraniony, umarł wkrótce potem... Za czasów rewolucyi, uszkodzono tę płaskorzeźbę; jednakże tyle jeszcze pozostało jej śladów, iż można ocenić cierpliwość, pamięć i talent Decura. Zachowano stół i kamienną jego ławkę, w starym wyłomie, którego nazywał swoim salonem ten ubogi rzemieślnik.

A teraz, ażeby w kilku wierszach zebrać zarys katakumb paryzkich, dodam że zaprowadzono jak najściślejszą zgodność między powierzchnią miasta, a stanem podziemi. I dla tego zachowano te tylko galerye podziemne, którą ciągną się pod ulicami Paryża; wszelkie zaś znajdujące się pod gmachami publicznymi zamurowano i zabezpieczono tak dalece, że w głębokości 80 stóp pod miastem, możemy rozpoznać, pod którą ulicą, pod którym domem znajdujemy się w tej chwili.

## S T R U Ś.

Nauka historyi naturalnej, naprowadza na to postrzeżenie które umysł uderza i zadziwia, że wszystkie istoty znajdujące się na ziemi, łączą się i tworzą niezmiernie ogniwo. I tak, weźmy dwa najbardziej różniące się rodzaje w trzech królestwach natury, a zobaczymy, zastanawiając się nad pośrednimi rodzajami, iż można ustanowić między niemi stopień pokrewieństwa i na granicy jednego i drugiego, znaleźć istoty podobne po części do obudwu i będące punktem ich połączenia. Ale jeszcze bardziej zadziwia, że to co mówimy o rodzajach, można także powiedzieć o trzech królestwach natury, tak dalece, że królestwo zwierząt łączy się z królestwem roślin, to zaś z królestwem rzeczy kopalnych i na wzajem, przez stopniowe modyfikacye, przez istoty jakimi są zwierzo-krzewy, królestwo rzeczy kopalnych, łączy się z króle-

stwem zwierząt: gdyż zwierzo-krzewy trzymają środek między zwierzęciem, rośliną i kamieniem. Te przechodnie rodzaje, mocne zajęcie wzbudzają w dostrzegaczu. Struś należy do jednego z najznakomitszych.

Struś jest największym z ptaków, dochodzi do ośmiu stóp wysokości, i może ważyć 80 funtów. Z powodu długości nóg i szyi, jako też jego przymiotów i sposobu życia, porównywiają go z wielbłądem i lud prosty w Arabii mniema, że Struś zrodził się z wielbłąda i ptaka. Nareszcie, chciano upatrzeć nowe podobieństwo między tym ptakiem i zwierzem, przyznając strusiowi garb którego nie posiada. Ale mimo tych wszystkich przesad i pomyłek, przyznać potrzeba że w pasmie istot, Struś stanowi przejście pomiędzy ptakami i czworonogami. Jeżeli podobnie jak Kazoar, mając skrzydła nie może latać, przewyższa za to wszystkie zwierzęta szybkością biegu.

W historyi naturalnej Jarockiego, znajdujemy takie wyszczególnienie charakterystycznych znamion Strusia.

»Dziób mierny, prosty, płaski, na końcu zaokrąglony, tępy. Szczęki prawie równe. Otwory nozdrzy na dziobie podłużne. Głowa i większa część szyi nagie, rzadkimi tylko włoskami upstrzone. Skrzydła nie lotne, wietkami kędzierzawymi piórami pokryte, dwoma szponami przy zgięciu uzbrojone. Na piersiach guz duży, nagi, twardy. Boki ciała i nogi całe zupełnie nagie, reszta ciała miernymi piórami pokryta. Steruwki w ognie podobne piórom w skrzydłach. Nogi bardzo wysokie, potężne, dwu palczaste. Każdy palec ma cztery członki. Na palcu przysrodkowym pazur gruby, podłużny, kopytkowaty. Palec skrajny przez pół krótszy bez pazura. n. p. Struthio Camelus.»

Uważany co do wewnętrznego składu, szkielet Strusia podobniejszy do szkieletu czworonogów niżeli ptaków. Jego język bardzo krótki, ma kształt podkowy. Kość płaska przedpiersia, zwana sternum, u innych zwierząt podobna do sztaby okrętowej, tworzy pewien rodzaj puklerza, dogodnego do poruszeń Strusia, gdy chcąc się położyć, musi najprzód zgiąć kolano, oprzeć się na kości piersiowej, a potem na całej niższej części ciała. Ma trzy żołądki podobnie jak zwierzęta odzwajające. Sam jeden ze wszystkich ptaków, osobno oddaje urynek, osobno gruby stolec.

Zastanawiając się nad zniształami Strusia, wniesłoby można z powikłanej budowy jego nozdrzów, iż celuje powonieniem: mylnie byłoby to mniemanie; albowiem zmysł ten, przez który zwierzęta rozróżniają stosowne dla siebie pokarmy, jest tak niewydoskonalonym w Strusiu, iż połyka żelazo, ka-

## STRUŚ.



mienie, szkło, a nawet miedź i wapno. To dowodzi, że zmysł smaku podobnie gruby jest u Strusia jak zmysł powonienia. Słuch i wzrok posiada bardzo mocny.

Tak u samca jak u samicy, zrenica jest koloru orzechowego, a dziób koloru rogowego, prócz końca, który jest czarniawy. Niższa część szyi, grzbiet, kuper, piersi i brzuch, pokryte są czarnymi piórami, pośród których znajduje się nieco białych i szarych; wielkie pióra skrzydeł i ogona, są bardzo pięknej białości; nogi są szare. Samica jest koloru ciemno popielatego, samiec ma pióra czarne. Młode są szare pierwszego roku i mają pióra na głowie, szyi i udach; te pióra wypadają wkrótce i już więcej nie odrastają.

Ciężkie ptaki są zazwyczaj wielożenne, i Struś nie wyłącza się z tej zasady; wnieść

należy iż gniazda zakładane bywają przez jedną parę tam gdzie jest równa liczba samców i samic, a w przeciwnym razie wielożeństwo ma miejsce. Bez tego, nie można by wytłomaczyć, jakim sposobem może się znajdować niezmiernie mnóstwo jaj w jednym gnieździe. Czas noszenia jaj nie jest z pewnością wiadomy. Z resztą, okoliczność ta nie tyle zajmuje ile postrzeżenie zrobione przez Levaillant, Bougainville i innych dawniejszych badaczy, że Struś ma zwyczaj składać pewną liczbę jaj swoich w niejakiej odległości od gniazda, w miejscu gdzie się dochować mogą bez zepsucia, aby służyły za pierwsze pożywienie pisklątom.

Przez gniazdo Strusia rozumie się dołek, który wykopuje w piasku i tam bez żadnego przygotowania składa jaja; każda samica znosi dziesięć do piętnastu jaj.

Są bardzo duże, mogą obejmować kwartę ciecicy i ważyć blisko trzy funty. Pod strefą spiekłą, upał słoneczny uwalnia ojca i matkę od siedzenia na jajach i siedzą tylko w nocy. Młode wylęgają się po sześciu tygodniach. Chodzą zaraz po urodzeniu. Ponieważ w strefie gorącej, znajdują ciepło, i stosowne pożywienie, matka porzuca je natychmiast; lecz na Przylądku Dobréj Nadziei i w zimniejszych krajach, dopomaga im do szukania żywności, czuwa nad nimi i broni odważnie, dopóki potrzebują jej opieki.

Chociaż natura obdarzyła Strusia silnymi środkami napadu i obrony, ograniczony instykt tego ptaka nie dozwala mu z nich korzystać i gdy się musi bronić, używa tylko swego dziobu i nóg, któremi bardzo silnie uderza. Jednakże najczęściej ratuje się ucieczką i nie zna własnej mocy. Ta moc tak jest wielka, że niosąc na sobie dwóch ludzi, biegnie jeszcze prędzej niżeli koń najdoskonalszy. Kto nie jest przyzwyczajony do tak szybkiej jazdy, ten może dech utracić w tak gwałtownym biegu. Strus biegnie zawsze z podniesionymi skrzydłami. Ptak ten, byłby dla człowieka tak użytecznym jak koń, gdyby dał się podług woli kierować.

Strus żywi się roślinami, ale żołądek ma tak wielki, iż aby go zapchać, połyka wszystko co tylko napotka. Arabowie powszechnie mniemają że Strus nie pije, jednakże Strus znajdujący się w menażeryi paryzkiej, pił cztery kwarty wody w lecie, a sześć w zimie: lecz to jest prawda, iż przez długi czas może się obejść bez napoju.

Arabowie konno polują na Strusie, a zwłaszcza w epoce gdy te ptaki zbierają się wielkimi gromadami, dla przebycia pustyni. Strzelcy korzystając z tej chwili gdy Strusie są bardzo zmordowane, napadają na nie i zabijają kijami. Wydobywają z nich substancję pomieszaną ze krwią i tłuszczem, zwaną *manteque*, której używają na zaprawę potraw i lekarstwa. Mojżesz zabronił Żydom jeść mięso strusie. Mięso z młodych i tłustych Strusów, jest dosyć smaczne. Mieszkańcy przylądka Dobréj Nadziei, robią z jaj strusich pasztety i jajecznice.

Wielkie, białe pióra z ogonów i skrzydeł strusich, są najbardziej poszukiwane od najdawniejszych czasów. Starożytni nosili je jako ozdobę wojenną. Wiadomo nam jakie mnóstwo piór strusich, sprowadzają do Europy, do kapeluszków, szyszaków, ubiorów scenicznych i strojów damskich. Najlepsze pióra strusie są te, które z żywego ptaka wyrwano; poznać je można z czerwonego soku wychodzącego z ich rurek za naciśnięciem; pióra wyrwane z zabitego Stru-

sia, są lekkie, suche i prędko podpadają zepsuciu przez robaków.

## P O D R Ó Ź E.

*Ostatnia wyprawa Kapitana Ross na morza Bieguna Południowego.*

(Dalszy ciąg.)

Nie na tém skończyły się moje urządzenie. Aby ciągle utrzymać ludzi naszych w czynności, i chcąc zapobiedz aby wśród osamotnienia w którym znajdowaliśmy się, nie osłabł ich umysł, urządziłem szkołę pierwszych początków czytania, pisania, rysunku i matematyki. Podzieliłem całą osadę na pięć klas, względnie do stopnia pojęcia każdego, a trzech nasi chorążowie podjęli się bydź nauczycielami. Tym sposobem, ludzie nasi po skończonej służbie zawsze byli zatrudnieni: gdy czas pozwalał wychodzili na polowanie lub połów; a gdy zimno lub gęsta mgła zatrzymywała ich na statku, znajdowali w nauce pożyteczną rozrywkę. Co do nas, na innych wcale zatrudnieniach czas nam upływał, robiliśmy kolejno barometryczne i termometryczne spostrzeżenia. Sprawdziliśmy twierdzenie La Peyrousa, że w tych stronach merkuryusz opada podczas wiatrów północnych i wschodnich, a podnosi się w razie przeciwnym. I tak, barometr opadający bardzo nisko, zapowiadał pogodę, a na deszcz najwyżej się wznosił. Poczyniliśmy także niektóre spostrzeżenia względem wieżycy, i zapisaliśmy zjawienie kilku wspaniałych zórz północnych, których byliśmy świadkami. Sprawdzaliśmy prócz tego zmiany temperatury: tej zimy przedstawiała różnicę od 3ch do 40 stopni.

Tak nam upływał czas w tej biegunowej krainie, wśród zabaw i zatrudnień, które sami utworzyć sobie umieli. Żadna skarga, żadne szemranie słyszeć się nie dawało, a gdy w niedzielę, po nabożeństwie, przeglądał osadę, staranny ubiór majtków, wesole twarze, były dla mnie zapewnieniem najzupełniejszej wytrwałości. Trzy miesiące upłynęły, a chociaż niekiedy widzieliśmy niedźwiedzie, zające i lisy, krążące wokoło naszego statku, nie napotkaliśmy jeszcze żadnego myśliwca. Jednakże 9 Stycznia 1830 roku, majtek stojąc w obserwatorium, postrzegł ludzi snujących się w dali. Wyruszyłem natychmiast w stronę którą mi wskazał, i rozpoznałem gromadę Eskimów, stojącą przy niewielkiej lodowej górze, o milę blisko od okrętu. Skoro mnie postrzegli, schronili się po za górę, lecz gdy mnie przestał się zbliżać, ukazali się dobrowolnie, uszykowani we trzy rzędy, po dziesięciu w każdym. Postąpiłem po komendan-

ta Ross i kilku ludzi, rozkazawszy im trzymać się w pobliżu na odwodzie. Zbliżywszy się wówczas ku Eskimom, o jakie piędziesiąt sążni, poznałem że każdy z nich uzbrojony był włócznią i nożem, lecz nie mieli strzał ni łuków.

Wiedząc że Eskimowie przy spotkaniu wymawiają wyraz: *tima, tima*, powitałem ich własną mową, a oni odpowiedzieli mi jednogłośnie tegoż samego rodzaju okrzykiem. Przywołano wodza, trzymającego się dotąd na boku; stanął na ich czele. Rozkazałem towarzyszącym mi ludziom porzucić broń, i postąpiliśmy bliżej, krzycząc *aja tima!* uroczyste wyrazy, których używają te ludy, gdy chcą przyjacielską zacząć rozmowę. Natychmiast Eskimowie rzucili na ziemię swoje włócznie i noże, powtarzając okrzyk przez nas wzniesiony, i wyciągając ręce, aby pokazać że są bezbroni. Przystąpiliśmy wówczas bliżej i uściskali się wzajemnie. W kilku minutach pozyskaliśmy szacunek i ufność tych poczciwych ludzi. Powiedzieliśmy im że jesteśmy Europejczycy (Kablunae), a oni nam odpowiedzieli że są *Innuits*. Najstarszy z gromady miał około sześćdziesiąt lat, a najmłodszy osiemnaście; wszyscy dobrze byli przyszydzi. Większa ich część miała po dwie pary bótów, a niektórzy jeszcze mieli na nich trzewiki. Ubiór ich składał się z dwóch lub trzech par spodni skórzanych; kurtki z niedźwiedziej skóry, obróconej włosem do środka, i szuby z podwójnych skór lisich, spadającej po kolana. Z takim mnóstwem sukien i ogromnemi kapturami osłaniającemi im głowę, wydawali się się daleko grubszy i wyżsi, niżeli byli w istocie.

To spotkanie tak było niespodzianiem, żeśmy im najmniejszego nie mogli zrobić podarku; lecz ponieważ zezwolili pójść z nami na okręt, wynagrodziliśmy im to spóźnienie, ofiarowaniem kilku żelaznych kółek i sprzętów bez żadnej wartości, które niewymowną im radość sprawiły. Twarze tych Eskimów ożywiały wyraz szczerzej wesołości, a małe ich czarne oczki żywym świeciły blaskiem. Płeć ich nie była tak śniadą jak tych których poprzednio widziałem. Byli także ochędźniejsi, i rzecz dziwna, mieli włosy krótko obcięte i porządnie zaczesane. Namówiliśmy ich aby zwiedzili wnętrze naszego okrętu, co z wielką uczyli przystojnością; najmniejsze nasze rozporządzenia, nasze sprzęty, zwierciadła, obudzały w tych biednych ludziach niewysłowione podziwienie. Daliśmy im potem skosztować mięsiwa zgotowanego dla osady, lecz była to strawa zbyt delikatna dla ich żelaznych żołądków, z obrzydzeniem ją odrzucili, i wówczas dopiero zosta-

li zadowoleni gdy im przyniesiono kilka kubłów oleju i przetopionej tłustości.

Zadaliśmy im kilka pytań względem położenia tych krain; lecz bądź że nas nie zrozumieli, bądź że nie zdolni byli odpowiedzieć, nie otrzymaliśmy zaspokajającej odpowiedzi.

Zaczynało już ciemnieć; trzeba było wręście położyć koniec tym odwiedzinom; rozstaliśmy się jak dawni przyjaciele, i przyrzekliśmy naszym gościom że odwiedzimy nazajutrz ich obóz. Składał się z dwunastu chat wzniesionych obok niewielkiej zatoki, o dwie mile blisko od naszego statku. Każdą z tych chat, ułożoną z kilku kawałów wyrabianego lodu, poprzedzało przejście kryte, długie i kręte, w głąbi którego siedziały po jednej stronie kobiety i drobne dzieci, po drugiej zaś stronie były psy przeznaczone do zaprzęgu. Chaty te zewnątrz mają pozor ostro-słupa z gruba zaokrąglonego. Wewnątrz, główna komnata na 10 do 15 stóp obszerna, wznosi się w kształcie kopuły. Na przeciw drzwi jest ława z lodu, zajmująca blisko trzecią część pomieszczenia, pokryta skórą niedźwiedzi i rennow; jest to wspólne toż całej rodziny. Do jednej ze ścian przytwierdzona jest lampa pełna rybięj tłustości, której płomień rozlewa po chacie światłość wątpliwą i łagodnie utrzymuje w niej ciepło. Po nad lampą zawieszona jest naczynie kamienne, w którym gotują się kawałki mięsa rennow i cieląt morskich. Oto jedyne sprzęty i narzędzia, które postrzegliśmy w tych chatach. Z resztą, najniższego nie ma porządku; wszędzie skory świeżo odarte, świeże ćwierci morskich cieląt, nagromadzone bez żadnego ładu, z futrami i łachmanami odzieży.

Kobiety, któreśmy zastali w tych chatach, przyjęły nas nieśmiało, lecz z ukontentowaniem. Rysy ich były łagodne, a świeże i pulchne policzki, dowodziły doskonałego ich zdrowia. Wszystkie, mniej lub więcej wykalane były na czole i podbródku. Zadaliśmy im pytania względem miejsca w którym znajdowaliśmy się i fizycznej powierzchni krajiny.

Niektórzy z nich znali Igloolik, wyspę Winter i zatokę *Repulse*. Od trzynastu dni opuścili dopiero Akoollee, i przybyli w okolicę, w której ich spotkaliśmy, aby się zbliżyć do wolnego morza, które jak mówili, w niewielkiej było odległości ku północy. Rozwinęliśmy przed nimi nasze mapy i plany. Po krótkim objaśnieniu zdawali się doskonale pojmować ich cel i użyteczność; te mapy, jak łatwo można się domyśleć, nie zupełnie były dokładne: wskazały nam niektóre punkta na nich nie wyrażone. Wymienili nam góry, zatoki, wyspy i jeziora, zwracając naszą uwagę na miejsca

najbardziej rybne, lub obfitujące w renny i piżmo-woły.

Odtąd stosunki nasze z temi poczciwymi ludźmi stały się daleko częstsze; przyniesili nam część swojej myśliwej zdobyczy, a my dawaliśmy im w zamian noże, szklane paciorki i nieużyteczne już dla nas narzędzia. Jeden z łowców tego pokolenia, utracił nogę w walce odbytej z niedźwiedziem. Latwo pojąć jakim ciężarem ta rana czyniła go dla pokolenia, tak ze względu boleści których doświadczał, jako też trudności przenoszenia go z miejsca na miejsce. Chirurg nasz opatrzywszy go, dał cieśli okrętowemu rysunek szczudła. Gdy skończyło się leczenie i Eskim przypasał drewnianą nogę, trzeba było widzieć jaką radością przechadzał się przed towarzyszami, nie mogącemi się wydziwić tak cudownemu uleczeniu. Uleczenie to wielką nam zjednało sławę.

Był 15sty Stycznia, a zimno tak wielkie iż czysty merkurys zamarzał. Mrozy nadzwyczajne przyspieszyły zapewne śmierć jednego z naszych ludzi, James Maślin, puszkarza, zapadłego na kilka miesięcy przed naszym wyjazdem na słabość piersiową. Miesiąc Styczeń uważany jest w tych okolicach za najzimniejszy; zdrowie jednakże naszej osady, większej jeszcze nazbierało mocy. Stosunki nasze z Eskimami dostarczyły nam wygodnej odzieży, w której łatwo można było stawić czoło tej srogięj porze roku. Co do puszkarza, wątpię ażeby nawet w Anglii mógł żyć dłużej.

Rzadko charakter ludzki okazuje się od razu w zupełnym świetle, zawsze pokrywa go jakaś powłoka. Z czasem tylko można schwycić wszystkie jego odcienia, ocenić dobre i złe przymioty. Podobnie się stało i z naszymi Eskimami: z razu byli nieśmieli, potem ufniejsi, dalej bezczelni, na koniec kłamcy i złodzieje. Przez takie stopniowanie przechodzili owi ludzie, których za tak poczciwych poczytaliśmy przy pierwszym spotkaniu. Jeden z nich, aby dostać kawał drewna, udał że go boli noga, i prosił cieśli aby mu zrobił podobne szczudło jak strzelcowi ranionemu przez niedźwiedzia. Podstęp zbyt łatwy był do odkrycia; powiedzieliśmy natrętowi że chcąc mieć szczudło, musi sobie koniecznie dać upiłować nogę. Zmieszany tą odpowiedzią nie nalegał dłużej i odszedł zawstydzony. Inni obiecywali nam niedźwiedzie, skóry rennów, morskie cieleta, kazali sobie dawać sznury i haki, a nie dotrzymywali umówionej ugody. Inni nakoniec, korzystając ze wspaniałej naszej gościnności, przywłaszczali sobie drobne narzędzia zupełnie im bezużyteczne. Jedna z kobiet pochwycała szczypce. *Angekok*, to jest wieszczek, mę-

drzec, lekarz, poeta tych hord [błądzących, uznał za rzecz potrzebną skraść nam wielką perspektywę i młotek.

Skorośmy postrzegli brak tych rozmaitych przedmiotów, staliśmy się ostrożniejsi i nie tak przystępni; pobłażanie zachęcałoby tę niegodną skłonność, a nie chcieliśmy przystąpić do surowszych środków. Muszę wyznać na pochwałę Eskimów, że z przykrością postrzegli naszą oziębłość, i zażądali wytłomaczenia. Odbyło się w ten sposób: Jeden z nich towarzyszył mojemu synowcowi w jego wycieczkach, a gdy tenże bawił się strzelaniem tu i owdzie napotkanej zwierzyny, Eskim, postyszawszy kilka wystrzałów, zbliżył się do niego i spytał pomieszany: »Co mówi twoja fuzya? — Wymienia, odpowiedział mój synowiec, imiona tych wszystkich, którzy co skradli na okręcie, i zapowiada że łowy wasze dopóty będą bezskuteczne, dopóki nie zwrócicie wszystkich złe nabytych przedmiotów.« W istocie, od kilku dni polowanie nie było obfite. Udał się ten podstęp, i nazajutrz mieliśmy już na okręcie wszystkie potajemnie uniesione rzeczy.

To dobrowolne oddanie i wyraz żalu jaki oświadczyli Eskimowie, wróciły pomiędzy nami dawniejszą zażyłość. Zuowuśmy im dawali fraszki za ubite zwierzęta; agdy głód im dokuczał, przychodzili do nas po zaopatrzenie żywnością. Dali nam kilku psów do sanek, nauczyli nas zastawiać sidła na lisy, niedźwiedzie i borsuki, i nieznacznie łowy nasze stały się podobnie jak i ich korzystne. W ten to sposób upływał nam czas od Listopada.

Od pierwszych dni marca, zimno przestało być tak straszliwe, lód był nie tak ścisły, słońce bardziej ożywcze. Kazałem rąbać kanał, dla łatwiejszego wydobycia naszego statku gdy nadejdzie odwilż. Kaptan Ross udał się ku południowo-zachodniej stronie, w celu odkrycia jakiego przejścia; tę długą i przykrą podróż, już kilka razy podejmowaliśmy bezskutecznie. Upewniliśmy się jednak, iż Ocean zachodni znajduje się po za owym wązkiem przesmykiem, należącym do krainy której nadaliśmy miano *Boothia*. Porównyując to odkrycie z tém co nam powiadali Eskimowie o miejscu zwanym przez nich Mag-a-Woke, powzięliśmy nadzieję że znajdziemy może wyjście na Ocean zachodni. Krajowcy wprowadzili nam wielką czynili nam zachętę, utrzymując iż ziemia ciągnie się bez żadnej przerwy od północy na południe i że nie istniało żadne przejście tam, gdzieśmy je sobie wyobrażali.

(Dalszy ciąg nastąpi).